

---

# Świadectwa

---

JAN LITYŃSKI

## MÓJ WAŁBRZYCH\*

### WAŁBRZYCH MEMORIES

The legendary oppositionist from the generation of '68 recalls his travels to mining city of Wałbrzych in Lower Silesia region and of Solidarity activists met there. Lityński give first hand story of the birth of the opposition in the small hick town. From close up he describes coming into existence of the small circle of protesters, establishing independent trade union in 1980 any first lessons of democracy in the union elections.

#### Keywords

Solidarność, oposition, trade union, strike, elections

\* Fragment wspomnień Jan Lityńskiego, które są przygotowywane do druku w wydawnictwie Agora.

Do Walbrzycha pojechałem po raz pierwszy w 1979 r., po czerwcowej powodzi. Wysłała mnie tam redakcja „Biuletynu Informacyjnego”. Wylała rzeka Pelcznica, co było o tyle dziwne, że od dawna nikt w Walbrzychu jej nie widział. Płynęła kanałami pod miastem, a jedyny znakiem jej istnienia był smród wydobywający się spod bruku.

Pochodziłem po Walbrzychu, odwiedziłem szkoły, w których byli rozmieszczeni powodziarze, odbyłem kilka rozmów i... klops. Nie byłem w stanie nic ciekawego napisać. Aby to zrobić, musiałbym pójść do władz miasta – a to było oczywiście niemożliwe – poznać skalę powodzi, wykryć wieloletnie zaniedbania w systemie kanalizacyjnym. Wróciłem do Warszawy, a tydzień później ze wstydem przeczytałem w tygodniku „Kultura” znakomity reportaż Marty Miklaszewskiej, która zrobiła to, czego ja nie umiałem.

Drugi raz też nie obyło się bez przygód. Miałem jechać na sprawę Jacka Pilichowskiego, który już wówczas widniał w stopce „Robotnika”, właśnie z tego powodu został zwolniony z pracy i sąd we Wrocławiu miał rozpatrzyć jego odwołanie. Jednak wieczorem poprzedniego dnia zadzwonił Zbyszek Romaszewski. Poszedłem do niego. Zbyszek, niesłuchanie rozentuzjzowany, dokonał właśnie wielkiego skoku. Prawdopodobnie przez niedopatrzenie bezpieki miał ciągle w dowodzie stempelek pozwalający na wyjazd do „demoludów”, w tym także do ZSRR. Znal doskonale rosyjski jeszcze ze studiów w Dubnej. Wsiadł do samolotu, poleciał i spotkał się z Andriejem Sacharowem. Rozmawiali dość długo, Zbyszek opowiadał, że ów wielki fizyk, jeden z twórców bomby wodorowej i najbardziej znany w Rosji obrońca praw człowieka, wypytywał go o Polskę. Uprzednio jednak poddał go egzaminowi, czy nie jest nasłany przez bezpiekę. Zbyszek egzamin zdał, tak więc kolejny raz nawiąza-

liśmy bezpośredni kontakt z opozycją w krajach obozu.

Komitet Obrony Robotników wydał z tej okazji oświadczenie, Zbyszek opisał swój wy czyn w „Biuletynie Informacyjnym”. Reportaż ciekawy, może nieco zbyt egzaltowany, ale sprawa była nietuzinkowa, zrobiliśmy kolejny krok pokazujący siłę i sprawność ruchu opozycyjnego.

Siedzieliśmy wówczas do późnej nocy, popijając tradycyjnie wódeczkę, i nie miałem szans zdążyć na pociąg. Postanowiłem lecieć samolotem. Jednak lot do Wrocławia został odwołany, poleciałem więc do Katowic, a stamtąd autostopem do Wrocławia. Sam autostop był pouczający, sklepy na Śląsku zaopatrzone nieporównanie lepiej niż w Warszawie, a rozmowy z kierowcami ukazywały nastroje. Wszyscy narzekali na władzę, choć bez specjalnej złości, raczej z nutą lekceważenia. Władza jawiła się nie jako groźna siła, lecz jako śmieszna, niezdolna do skutecznego działania grupa nieudaczników.

Oczywiście spóźniłem się na proces Jacka, o co później Heniek Wujec miał do mnie ogromną pretensję. Lecz wyszło na dobre, bowiem prosto z sądu pojechałem do Walbrzycha, do domu Jacka. Nie wiedziałem wówczas, że zaczyna się jedna z najciekawszych przygód mojego życia.

Jacka nie było, a jego żona Wiesia potraktowała mnie, w pewnym sensie słusznie, jako sprawcę nieszczęść pracowniczych męża. Co prawda finansowo byli zabezpieczeni, jako że tak jak wszyscy represjonowani dostawali wsparcie albo z Biura Interwencyjnego, albo z „Robotnika” z funduszu KOR zarządzanego przez Jana Józefa Lipskiego, dochodził jednak uzasadniony strach. Mieli osiemnastometrowe mieszkanie na Piaskowej Górze, gdzie żyli razem z kilkuletnim synem.

Czekając na powrót Jacka, wałęsałem się po smutnym osiedlu zbudowanym w latach sześćdziesiątych. „Pudelka, pudelka, pudelka / W pudelkach ludzka pchelka” – jak śpiewał Jónasz Kofta. Odrapane domy, brudne, zamazane i ciemne klatki schodowe, chodniki położone tak, że chodzenie po nich było przygodą. W porównaniu z Piaskową Górą warszawskie osiedla, jak Stegny czy Lazurowa, budowane też w socjalistycznym stylu bez wyrazu, wyglądały jak luksusowe dzielnice z Beverly Hills. Bardziej odhumanizowane niż w Wałbrzychu osiedle widziałem tylko w Żorach, gdzie mieszkał Tadek Jedynak.

Wreszcie przyszedł Jacek. Wtedy spotkałem go po raz pierwszy. Nieco ode mnie młodszy, wysoki, chudy. Lekko pochylony, poruszał się jakby niezgrabnie, pełen entuzjazmu i ciepła. Polubiliśmy się od razu. Jacek był jak wymyślony. Skończył technikum, do Wałbrzycha przyjechał z powodu miłości do koni, bo chciał pracować w stadninie w Książu. Wylądował jednak w jakimś przedsiębiorstwie budowlanym, które zaoferowało mu mieszkanie. Nadawaliśmy na tych samych falach, był przywiązany do niepodległościowej tradycji socjalistycznej, z lekkim z racji koni skrzywieniem ku militarizmowi, pełen wiary w sens naszych działań. Kilka lat później, po internowaniu w stanie wojennym, Jacek już z drugim dzieckiem zdecydował się na emigrację do Stanów. Wyjechało zresztą wielu ludzi z Solidarności wałbrzyskiej. W Polsce czekała ich niezwykle trudna walka o przetrwanie pod czujnym okiem bezpieki.

W Stanach Jacek odniósł istotny sukces. Miał dobrą pracę, miłość do koni zamienił na żeglarsstwo. W Internecie czytałem jego opisy pogodnego życia w Ameryce. Wypowiadał się też o sytuacji w kraju; posługiwał się językiem będącym mieszaniną frazeologii PiS i ONR.

O Adamie Michniku czy o mnie pisał jako o zasłużonych co prawda, ale zdradzieckich w rezultacie draniach.

Wówczas jednak spędziłem dwa dni w jego wałbrzyskim mieszkaniu. Poszliśmy do wika-rego, ks. Tadeusza Farysia, i spotkaliśmy tam dwie osoby, które rozprowadzały „Robotnika”. W następnym roku Jacek docierał z „Robotnikiem” i innymi wydawnictwami do swojego dawnego przedsiębiorstwa budowlanego, gdzie jego najbliższym współpracownikiem był inżynier Wojtek Jurek, docierał też do szpitala (gdzie pracowała jedna z najpopularniejszych później działaczek Solidarności Lidia Łukasik) oraz za pośrednictwem Tadeusza Jedynaka do górników.

Wkrótce po mojej wizycie ks. Faryś został przeniesiony do Nowej Rudy, co jednak niczego go nie nauczyło. Po powstaniu Solidarności przyjeżdżał na wszystkie zebrania, zabierał głos, nadając spotkaniom ton wzniosłości. W rezultacie został wysłany na misję do Afryki. W ten sposób dwie instytucje poradziły sobie z niepokornym księdzem. Jackowi to nie przeszkodziło.

Potem byłem w Wałbrzychu jeszcze ze dwa razy. Pękła pewna bariera i Jacek miał coraz szersze kontakty. Pod koniec sierpnia 1980 r. strajk wybuchł niemal jednocześnie w jego przedsiębiorstwie budowlanym oraz w czterech wałbrzyskich kopalniach i jednej noworudzkiej. Jacek został sekretarzem nowo powstałego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego związku zawodowego. Zadzwoił do mnie następnego dnia i zaproponował przyjazd do Wałbrzycha. Byłem właśnie po dwóch tygodniach spania na dechach i wożenia po milicyjnych dołkach, sankcji i zwolnieniu z więzienia po czterech dniach na mocy porozumienia gdańskiego.

Tak więc 3 września 1980 r. wsiałem do samochodu Janusza Weissa, dojechałem do

Częstochowy i dalej autostopem (porozumienie porozumieniem, ale nie warto, by w pociągu człowieka zhaltowali...) drogą okrężną przez Opolę, polskie Carcassonne – czyli Paczków, Nową Rudę udałem się do Walbrzycha. Nad miastem wisiała ponura czarna chmura wydobywająca się z dymiących wiecznie kominów. Poszukałem idącej w górę ulicy Wysockiego i po krótkiej obserwacji terenu wkroczyłem niezbyt pewnie do budynku NOT (Naczelnej Organizacji Technicznej) przy kopalni Thorez. Zobaczyłem ludzi chodzących szybko w różne strony. Odetchnąłem z ulgą. Poczucie bezpieczeństwa wróciło. Wywołałem Jacka, który przedstawił mnie swemu przewodniczącemu Jerzemu Szulcowi.

Szulc patrzył na mnie nieco podejrzliwie. Był górnikiem w kopalni Walbrzych, a jednocześnie ratownikiem i czołowym działaczem Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej oraz członkiem PZPR. Jako ratownik cieszył się poważaniem, więc gdy po rozpoczęciu lipcowego strajku wszedł na kopalnię, kazali mu coś powiedzieć. Tak został szefem strajku, a następnie w przededniu swoich 26 urodzin szefem całego walbrzyskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego nowych związków zawodowych.

Zaczęliśmy rozmowę i powoli lody topniały. W pewnym momencie Szulc zaproponował, bym został jego doradcą. Przez dwa dni poznałem pozostałych członków prezydium MKZ. Zastępcą Szulca był Staszek Wróbel, stateczny, znacznie starszy ode mnie, też partyjny. Owa partyjność wśród walbrzyskich działaczy górniczych była raczej regułą niż wyjątkiem. Dółowy górnik, gdy chciał awansować, dostać się na jakieś kursy dokształcające, musiał wstąpić do PZPR. Wśród sztygarów nie było chyba nikogo bezpartyjnego. Dodatkowo wielu górników było

potomkami zaciągu z lat czterdziestych, kiedy to do Walbrzycha przyjechali górnicy z Francji, w większości członkowie tamtejszej partii komunistycznej. Synowie wstępowali w ślady ojców. Oznaką tego była zmiana w 1950 r. nazwy kopalni Julia na Thorez. W 1983 r. odzyskała ona swe pierwotne miano, po czym została zlikwidowana. Dziś na jej terenie powstało muzeum i centrum kulturalne.

Po dwóch dniach wróciłem do Warszawy z myślą, że ściągnę kogoś do pomocy. Namówiłem Jacka Szymanderskiego, socjologa, jednak był on już zaangażowany w warszawski MKZ i jego pobyt niczego nie wniósł. Praktycznie przenieśliśmy się na stałe do Walbrzycha. Dostałem papier podpisany przez Pilichowskiego, że jestem osobą wspomagającą walbrzyski związek. Dawało to pewne poczucie bezpieczeństwa, przestałem więc jeździć autostopem. Zresztą jeździłem rzadko. Mieszkalem w Walbrzychu początkowo w gościnnym pokoiku NOT, a wkrótce potem, gdy w MKZ zaczęło brakować miejsca, zostałem rezydentem mieszkania, a raczej jednego pokoju Jacka. Spałem na podłodze.

Powstawało coraz więcej komitetów założycielskich Solidarności. Jeździłem po całym województwie, rozmawiałem, dyskutowałem. Gdziekolwiek wybuchały strajki, gdy dyrekcje utrudniały zakładanie nowego związku. W produkującej mrożonki walbrzyskiej „blaszance” strajk właśnie się kończył. Pozostało do załatwienia kilka postulatów. Siedziałem między dyrektorem a szefem komitetu strajkowego. Dyrektor udzielał ludziom głosu, przerywał im co chwila, zwracał się po nazwisku bądź per „ty”. „Niech no sobie Kwiatkowska nie myśli – mówił do przemawiającej robotnicy w fartuchu – że wie, jak należy kierować zakładem”. Jednocześnie poszukiwał we mnie sprzymierzeńca, wierząc, że

w przedstawicielu „góry” znajdzie jak zawsze poparcie. Jednak się pomylił. To, co działało jeszcze przed kilkoma dniami, zawiodło. Strach został przelamany. Przykład z Gdańska i wspólne doświadczenia strajkowe spowodowały, że robotnice odnalazły własny język. Opisywały warunki pracy, stosunki panujące w halach fabrycznych. Rodziło się wśród nich poczucie godności.

Podobnie było w pewnej leżącej na krańcu województwa spółdzielni produkcyjnej. Po spotkaniu nie miałem jak wrócić. Usłużny prezes zaproponował mi swoje auto służbowe. Pokusa była duża, zbliżała się noc. Jednak nagle sobie uświadomiłem, że gest prezesa mógłby się stać demonstracją adresowaną do pracowników: „Widzicie, niby tak was wspierają, a już sadzają tylki do służbowych aut”. Odmówiłem i poszedłem na szosę, by złapać okazję.

Zupełnie inaczej wyglądało to w fabryce mebli w Świebodzicach. Szef tamtejszego związku przyjechał do Wałbrzycha samochodem. W drodze dowiedziałem się ze zdziwieniem, że jest on również jednym z dyrektorów. Zauważyłem nieśmiało, by go nie urazić, że to niezgodne z zasadami, które nie pozwalają dyrekcji wchodzić w skład kierownictwa związku zawodowego. Uśmiechnął się i powiedział: „A kto inny to zrobi?”.

Niekiedy pobyt w przedsiębiorstwie wymagał ode mnie samozaparć. Zostałem zaproszony na spotkanie w zakładach mięsnych – czyli w rzeźni. Przewodniczącym był tam spokojny, obdarzony naturalną charyzmą Leszek Roszczyk, a jego zastępczynią Basia Kwiatkowska, bojowa dziewczyna, która często zabierała głos na zebraniach w MKZ, wykazywała wiedzę i rozsądek. Niestety przed zebraniem musiałem przejść przez całą linię produkcyjną... Było to trudne, jednak nie dałem nic po sobie poznać.

Gdzieś na początku października do MKZ przyszli taksówkarze. Oni też założyli swój związek, zarejestrowali go w MKZ i zażądali, by władze zablokowały wydawanie nowych licencji. Stanęliśmy przed dylematem. Wiadomo: im więcej taksówek, tym lepiej dla mieszkańców. W warunkach gospodarki rynkowej otwarcie zawodu oznaczałoby konkurencję cenową i zmniejszenie bezrobocia (co wówczas oczywiście w Polsce nie stanowiło problemu).

W PRL, w gospodarce niedoboru, był też niedobór taksówek. W Wałbrzychu może tego nie odczuwano w sposób drastyczny, lecz w dużych miastach, szczególnie w Warszawie, znalezienie taksówki graniczyło z cudem. Na postojach stały niekończące się kolejki pasażerów, kierowcy dyktowali warunki, brali po kilku chętnych w wygodnym dla siebie kierunku. Powstawał też quasi-rynek: podwożono pasażerów „na lebką” prywatnymi lub służbowymi samochodami, nielegalnie, choć za odpowiednią opłatą.

Dylemat rozstrzygnięto na korzyść taksówkarzy. Interes pasażera czy człowieka szukającego pracy na taksówce był odległy, tu zaś mieliśmy do czynienia z żywymi ludźmi, i to takimi, którzy włączali się do naszego ruchu. MKZ poparł żądania kierowców.

Z kolei na zebraniu założycielskim pracownik Ruchu, które prowadziłem, niezwykle trudno było opanować sytuację. Inaczej niż w zakładach pracy panie (bo były tam prawie same kobiety) z kiosków Ruchu nie znały się dobrze i nie były przyzwyczajone do jakichkolwiek dyskusji. Obawiałem się, że przeprowadzenie pełnych wyborów okaże się niemożliwe. Wymyśliłem więc trik w oczywisty sposób niezgodny ze statutem. Wybory do władz odbyły się za jednym zamachem. Te panie, które dostały najwięcej głosów, weszły w skład zarządu, pozostałe utworzyły komisję rewizyjną.

Trudniejsze okazało się rozwiązanie konfliktu w wałbrzyskim domu opieki społecznej prowadzonym przez siostry zakonne. Przewodnicząca związku razem z koleżankami twardo stawiała żądania. Mówiła o pracy w nadgodzinach, braku ciepłej odzieży (zwłaszcza kalesonów) potrzebnej podczas pracy w ogrodzie warzywnym, a także o złym traktowaniu pracowników. Siostry były przerażone. Z goryczą mówiły, jak modliły się o zwycięstwo gdańskiego strajku i jak im się teraz za to odplaca. Atmosfera gęstniała. Udało się – wbrew także moim zasadom, że wszystko powinno odbywać się jawnie – przejść do pokoju siostry dyrektorki, gdzie zawarto porozumienie.

Tymczasem powstawała Solidarność. 16 września pojechaliśmy z Jurkiem Szulcem do Gdańska przez Warszawę. Chciałem, by Szulc spotkał się Adamem Michnikiem. Okazało się to niezwykle owocne. Obaj panowie grali na tych samych nutach. Jurek dojrzywał niezwykle szybko. Otrząsnął się z roli potencjalnego partyjnego aparatczyka i stawał się autentyczny przywódcą ruchu. Był utalentowany i szybko chłonił wiedzę.

W Gdańsku w siedzibie MKZ spotkałem Krzysztofa Wyszowskiego. Niezwykle rozgądkowany oświadczył mi, że Kuroń zmierza do wyeliminowania Lecha Wałęsy i postawienia na czele związku Bogdana Borusewicza, Lecha chce zaś wysłać do pracy. Rzeczywiście Jacek w pewnym momencie miał idealistyczny pomysł, by przywódcy związkowi nie stawali się biurokratami, lecz zachowali przynajmniej część etatów i pozostali w zakładach pracy. Lecz od tego do jakiegokolwiek próby eliminowania Wałęsy było daleko. Wyszowski jednak bez intrygi czuł się jak bez powietrza. Roześmiałem się i powiedziałem, iż jego wiara w to, że może mnie skłócić z Jackiem, jest śmieszna.

Jednak podział się rysował. Wałęsa starał się budować swoje biuro bez udziału ludzi z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, nie bez pewnego poparcia strajkowych ekspertów – Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Gremka, którzy obawiali się radykalizmu ludzi z ruchu korowskiego, a więc i WZZ, a także Jacka Kuronia. Andrzejowi Gwiazdzie, Ani Walentynowicz, Alince Pieńkowskiej i niektórym członkom prezydium, nawet niezwiązanym z WZZ, nie podobało się lekkie dystansowanie się Wałęsy od KOR. U Ani Walentynowicz, która mieszkała obok siedziby MKZ, obradowali członkowie prezydium wywodzący się z WZZ. Konflikt narastał.

W gdańskim MKZ powstały jakby dwa bloki: wokół Wałęsy i wokół Gwiazdy. Kuroń był w trudnej sytuacji. Uczuciowo był związany z Andrzejem Gwiazdą i innymi przyjaciółmi. Ale jednak by być skuteczny, musiał zdobywać pozycję przy Lechu. Powoli jego autorytet rósł. Szczególnie w momentach napięcia Jacek potrafił uzasadniać umiarkowanie. Później w jednym z takich momentów, gdy na sali narastało poparcie dla posunięć radykalnych, Jacek zabrał głos i zaproponował plan działania. Stojący obok mnie Tadeusz Mazowiecki na moje pół pytanie, pół stwierdzenie „No i jak bez Jacka?” powiedział: „No tak, bez Kuronia się nie da”.

17 września odbyło się zebranie przedstawicieli komitetów strajkowych – wielokrotnie opisywane. Obie gdańskie grupy były zgodne co do tego, że nie należy tworzyć jednego, wspólnego związku. Z dzisiejszej perspektywy ich argumenty wydają się komiczne – obawiali się, że jako doświadczeni będą musieli obsługiwać cały kraj. W każdym razie ich stanowisko było nie do zaakceptowania. Na spotkaniu dolnośląsko-warszawskim (uczestniczyli w nim na pewno Karol



Modzelewski i Zbyszek Przydział z Wrocławia, Jan Olszewski z Warszawy i my z Jurkiem Szulcem) postanowiliśmy wystąpić razem i przymusić jeden związek. I tak się stało. Po raz pierwszy i chyba ostatni Wałęsa przegrał. Kropkę nad „i” postawił Karol Modzelewski, zgłaszając nazwę NSZZ Solidarność.

W trakcie spotkania zabrał głos przedstawiciel Poznania. Był to Leszek Dymarski, uczestnik ruchu korowskiego, poeta, aktor Teatru Ósmego Dnia i człowiek niezwykle dowcipny. Przemawiał tak, jakby prowadził imprezę rozrywkową. W napiętą atmosferę wdarła się dająca odprężenie, lekka nuta. Nagle usłyszałem znajomy głos. Z trudem poznałem przemawiającego, właściwie tylko po charakterystycznym, jakby falowanym sposobie mówienia. Był to Janek Rulewski, z którym siedziałem w więzieniu w Strzelcach i potem widziałem go zaledwie dwa czy trzy razy.

Powoli zapoznawaliśmy się z górnikiem. Do MKZ w Wałbrzychu przychodzili zawsze grupą. Byli na swoim terenie i stanowili siłę. Przewodził im Bogdan Kocik, którego brat Zbyszek był zastępcą Staszka Wróbla na Thorezie. Boguś pracował w przedsiębiorstwie robót górniczych, był kimś w rodzaju sztygara, z racji miejsca pracy znał wszystkie wałbrzyskie kopalnie. Byliśmy sobie ciekawi od czasu, gdy partyjna „Trybuna Wałbrzyska” zorganizowała dyskusję. Partia pod względem ideowym nie istniała, redaktorzy przysłuchiwali się temu, co mówimy, i zdawali się potwierdzać nasze racje. Sytuacja była absurdalna. Z jednej strony przedstawiciele partyjnego organu, z drugiej nas trzech: dwaj należeli do tejże partii, a ja do wyklętego KOR... Jednym z rozmówców był zastępca naczelnego i bodajże szef PZPR w gazecie. Spotkałem go po latach, już po wyborach 1989 r. Przywitał się serdecznie i powiedział: „Panu to było dobrze, pan się ukrywał,

w podziemiu. A ja na pierwszej linii, bezpośrednio z nimi”.

Stosunki z władzami były stosunkowo dobre. Do rozmów z nami wystawiony został wicewojewoda Nowak, były kurator oświaty, człowiek spokojny i umiarkowany. Po rejestracji Solidarności zaprosił nas do siebie i pogratulował. Robiło to szczere wrażenie. Natomiast przewodniczący ZSMP jawnie okazywał nam sympatię. Przychodził do lokalu Solidarności, opowiadał o nastrojach w PZPR i starał się zakolegować. Nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że to gra, prowadzona na siłę, bez przekonania.

W przeciwieństwie do Bielska-Białej czy Jeleniej Góry, gdzie żądania odwołania partyjnych sekretarzy doprowadziły do strajku, w Wałbrzychu obie strony jakby mało miały sobie do powiedzenia. Może wynikało to z górniczej siły. Ale w listopadzie I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Jerzy Grochmalicki zniknął ludziom z oczu i został kierownikiem jakiegoś wydziału w Komitecie Centralnym.

A zniknął, bowiem się szykowało... Pierwszy sekretarz i jakiś jego zastępca zbudowali sobie wille w przywałbrzyskim Szczawnie-Zdroju. Na dużym zebraniu Solidarności występowali robotnicy zatrudnieni przy budowie. Opowiadali o ściąganiu specjalnych materiałów z zagranicy, mahoniach, hebanach, o przebudowie zainstalowanych już urzędów, gdy żonie lub samemu sekretarzowi coś się nie spodobało. Wyglądało to bardzo prawdopodobnie i nawet jeżeli niektóre relacje były przesadzone, odnoszenie się dygnitarzy do ludzi wyglądało na typowe dla całego PRL. Zebranie trwało kilka godzin i zakończyło się przesłaniem materiałów do prasy. Po przeniesieniu Grochmalickiego jednak sprawa ucichła.

Boguś Kocik obwoził mnie po Wałbrzychu i pokazywał najciekawsze miejsca. Nowe Miasto,

najelegantsza dzielnica, było pełne domów piętych żelaznymi klamrami. Szkody górnicze. Miasto było podkopywane przez kopalnie. Pokłady węgla się wyczerpywały i zdecydowano się narużyć pas ochronny pod miastem. Kocik zaprosił mnie do siebie. Mieszkał w przedwojennym domku górniczym. Różnica między PRL-owską Piaskową Górą a kapitalistycznym osiedlem robotniczym była ogromna. Proste, lecz solidne budownictwo z ogródkami, zadbane otoczenie, niezbyt obszerne, ale dobrze zorganizowane mieszkania. Wystrój typowy, kilka oleodruków, meble z meblościanki, choć w jednym z pokoi duży przedwojenny stół, pozostałość po poprzednich gospodarzach. I znana mi z Radomia cieniutka, ledwo żółta herbatka, w przeciwieństwie do dawanej lubianemu lub honorowemu gościowi kawy, gdzie zmielone ziarna wypełniały niemal pół szklanki.

Spędziliśmy pół nocy na rozmowie. Koci-kowie byli „Francuzami”, czyli reemigrantami z Francji, należeli do środowiska, które samo przyszło do komunistycznej Polski. Po tej rozmowie, a może nawet nieco wcześniej, zostałem zaakceptowany. Choć może nie do końca. 3 października z powodu niedotrzymywania zobowiązań przez rząd – chodziło głównie o dostęp do środków masowego przekazu i podwyżki płac – w całej Polsce miał się odbyć godzinny strajk ostrzegawczy. Jednak główną przyczyną strajku była chęć pokazania rządowi siły niezależnego związku. Górnicy byli sceptyczni. Podczas strajku poszedłem do Thoreza. Był to przecież mój pierwszy strajk od czasów marcowych. Tam podszedł do mnie Zbyszek Sękowski, jeden z górników odwiedzających siedzibę MKZ, i spytał ironicznie: „To co, sprawdzasz, czy się nie wylamaliśmy?”

Niechętna reakcja górniczej czołówki na strajk miała swoje drugie dno. W połowie września

delegaci górników udali się do Jastrzębia, gdzie spotkali się z przywódcą tamtejszej Solidarności Jarosławem Sienkiewiczem. Wrócili w bojowym nastroju. Na zebranie MKZ przyszli dużą grupą, silni i pewni siebie. Atakowali słowem i ciałem. Zarzucili Jackowi Pilichowskiemu związki z KOR. Wtedy członek prezydium Janusz Biliński ze świdnickiego PKS, z którym nie miałem dotychczas bliższego kontaktu, odpowiedział, że to KOR bronił robotników, bez KOR „nie byłoby nas tu dzisiaj”. Jednak nie rozładował konfliktu.

Górnicy nadal cisnęli i po kilku tygodniach wycisnęli Pilichowskiego na kilka miesięcy z prezydium. Czulem się podle. Co prawda bronilem Jacka, lecz oni twardo stosowali metodę „zły Pilichowski, dobry Lityński” i nigdy nie żądali, by mnie usunąć z MKZ. Jacka bronił drugi wiceprzewodniczący, Janek Sęk, poważny reprezentant przedsiębiorstwa budowlanego, człowiek, który pierwszy z Walbrzycha dojechał do Gdańska, i jego przeciwieństwo, niski i ruchliwy Henryk Kaplan z przedsiębiorstwa urządzeń górniczych. Również Jurek Szulc bronił Jacka, lecz został przywołany do porządku jako górnik. Powstał jednak pewien kompromis. Jacek podobnie jak ja został oficjalnie uznany za wspomagającego MKZ. Jak się dowiedziałem, konflikt z Jackiem miał też dodatkowe podłoże. W czasie sierpniowego strajku, już po podpisaniu porozumienia gdańskiego, wśród strajkujących powstał spór o zakończenie strajku. Co bardziej zapalczywi wzywali do kontynuacji. Jacek słusznie wzywał do zakończenia. Jednak w argumentacji posunął się za daleko, miał rzekomo ostrzegać przed pacyfikacją strajku za pomocą czołgów. Sytuację uratowali Szulc, który zaryzykował swój autorytet świeżo mianowanego przewodniczącego, oraz Idzi Gagatek. Ostatecznie górnicy strajk



zakończyli, stwierdzili: dość strat, wracamy do pracy tego samego dnia.

Idzi Gagatek był już wówczas wielką postacią i górniczym autorytetem. Niespełna pięćdziesięcioletni, miał za sobą 30 lat pracy na kopalni. Niewielkiego wzrostu, mocno lysiejący, z ogromnymi, zwisającymi, bujnymi wąsami, zawsze spokojny, z zagadkowym uśmiechem. Odzywał się rzadko, mówił charakterystyczną gwara. Był słuchany. Nigdy nie brał udziału w górniczych „nalotach” na MKZ. Jak się wydaje, bez jego aprobaty sierpniowy strajk nie mógłby wybuchnąć. Jego funkcje w Solidarności nie odzwierciedlały jego prawdziwej pozycji. Władze zdawały sobie sprawę z jego autorytetu. Wielokrotnie go zatrzymywano i aresztowano. Zdawał się znosić to wszystko ze stoickim spokojem. Gdy pojechałem do Wałbrzycha w 1987 r., w Duszpasterstwie Ludzi Pracy wręczył mi ozdobny kilof górniczy. Dla mnie było to najwyższe odznaczenie.

Konflikt z jastrzębską Solidarnością narastał. W pewnym momencie do Jastrzębia pojechał Wałęsa. Byłem tam, by spotkać się z Andrzejem Gwiazdą, którego chciałem namówić do przyjazdu do Wałbrzycha razem z Lechem.

W Jastrzębiu na dużej sali tłum górników czekał na Wałęsę. Wreszcie Wałęsa przyszedł, wprowadzał go Jarosław Sienkiewicz, duży, zwalisty chłop, przewodniczący związku, który – jak sam opowiadał w jednym z wywiadów – „na strajk udał się z lokalu komitetu partyjnego”. Faworyt ówczesnego sekretarza Śląska Andrzeja Żabińskiego, członka twardej frakcji dążącej do unicestwienia Solidarności. Sienkiewicz miał ogromne ambicje. Jego emisariusze i on sam jeździli po całym kraju, namawiając związki górnicze do rejestracji w Jastrzębiu. Udało im się m.in. zwerbować jakieś mazowieckie przedsiębiorstwo prowadzące roboty odkrywkowe.

Sienkiewicz przedstawił Wałęsę tonem protekcyjnym, z niezbyt ukrywaną niechęcią. Obok siedział Andrzej Gwiazda, którego jakby pominął. Wałęsa zaczął mówić. Sala słuchała uważnie, czuło się dystans połączony z przekazaną przez Sienkiewicza niechęcią. Ale stał się cud. Po każdym zdaniu Wałęsy rósł entuzjazm. Wałęsa zaczął odpowiadać na pytania, w typowy dla siebie sposób przerywał niekiedy pytającemu w pół zdania, mówiąc „wiem”, i szybko odpowiadał. Pod koniec spotkania Sienkiewicz, wyższy od Lecha o głowę, jakby zmaliał. Wałęsa został zaakceptowany jako przywódca i obdarzony ogromnym, wręcz bezgranicznym zaufaniem. Nieco później Sienkiewicz wyszedł z Solidarności, by utworzyć związek o górniczej nazwie Gwarek, lecz został całkowicie zmarginalizowany.

Szefem Jastrzębia został Stefan Palka, który później, już na emigracji, dołączył do lewicowych grup trockistowskich, a jego zastępcą Tadek Jedynak, od początku zdecydowany zwolennik jedności związku i Wałęsy, późniejszy przywódca podziemnej Solidarności śląskiej. W samym Wałbrzychu górnicy po krótkim okresie fascynacji propagowaną przez Sienkiewicza górniczą jednością opowiedzieli się za Solidarnością i Gwarek utworzyła nieliczna grupka, niestety z moim chwilowym przyjacielem Bogdanem Kocikiem, który prawdopodobnie został zaszantażowany przez SB. (W 1982 r., gdy w więzieniu czytałem akta sprawy KOR, Kocik złożył dość obrzydliwe zeznania, jakby pod dyktando śledczych. Było mi przykro). Porażkę Gwarka przypieczętował Idzi Gagatek, który bez wahania opowiedział się za Solidarnością.

Staralem się urozmaicić nasze spotkania. Jeszcze we wrześniu ściągnąłem Andrzeja Seweryna, który po filmie „Ziemia obiecana” był niezwykle popularny. Recytował wiersze Czesława Miłosza

i spotkał się z górnikami w Thorezie. Powszechny aplauz wywołał Janusz Szpotański recytujący „Towarzysza Szmaciaka”. Później chciałem go przywieźć na zjazd walbrzyskiej Solidarności, ale niestety nie miał czasu.

Następnie przyjechał Józef Kuśmerek, wielka postać polskiego reportażu, były żołnierz Armii Ludowej (kiedyś obstawiał posiedzenie, na którym powstawała komunistyczna Krajowa Rada Narodowa, kadłubowy parlament, załóżek przyszłego PRL), od kilku lat bezwzględny krytyk całego PRL, chyba już usunięty z PZPR. Wygłosił wspaniałą mowę o sytuacji gospodarczej Polski, a mówił jak zwykle z wielką swadą, syjąc przykładami. Postulował wsadzenie do więzienia czołowych prominentów odpowiedzialnych za gospodarkę, w tym wicepremiera Tadeusza Wrzaszczyka.

Spisaliśmy to wystąpienie; dało to początek niezależnej prasie w województwie walbrzyskim. Pomagało mi dwóch dwudziestoletnich świdniczan: Marek Szelązek i Grzegorz Skiba. Marek pogodny, wiecznie uśmiechnięty, szybko nawiązujący kontakt z ludźmi, Grzegorz zamknięty w sobie, z ponurą miną. Nasz biuletyn przekształcił się potem w „Niezależne Słowo” z fachową redakcją Antka Matuszkiewicza i Mirka Sośnickiego (Szelązek i Skiba weszli do redakcji). Miałem później śmieszny spór z Matuszkiewiczem, gdy w którąś z rocznic pojawił się tekst na temat polskich zmagania z reżimem: jego autor pisał w podniosłym tonie: „Znów polala się krew, jakże cenna, bo biało-czerwona”. Ja uważałem, że nie ma krwi takiego koloru, Matuszkiewicz, znany świdnicki poeta, twierdził, że to trafna metafora...

Spisaliśmy więc wystąpienie Kuśmiera, ale jednak z ostrożności procesowej wyciąłem kawałki o sędzię dla Wrzaszczyka. Później, kiedy

pokazałem Kuśmierkowi biuletyn, spojrział tylko i powiedział: „A więc zdrzyfles?”. Miał rację.

Staralem się też ściągać do Walbrzycha zagranicznych dziennikarzy. Przyjechał Duńczyk, a właściwie Polak z Danii, wielkim samochodem z darami, które zostały rozdane w MKZ. Przyjechał Włoch Massimo di Nolla. Najciekawszy był pobyt Irlandki Jacqueline Hayden, którą poznałem w sierpniu 1980 r. Wówczas udało jej się dotrzeć do Gdańska, gdzie w przededniu strajku spotkała się z Wałęsą i Anną Walentynowicz. Opisała to w „Irish Timesie”. Gdyby taki reportaż znalazł się w „Timesie”, pewnie zrobiłby furorę. Potem Jacqueline obroniła doktorat o polskiej opozycji. Została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP przez prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Z Jacqueline Hayden zrobiliśmy objazd województwa. Najpierw Nowa Ruda, dziwne rozciągnięte miasto, składające się z dwóch części. Pierwsza to tradycyjna część miasta z kopalnią niemal w samym środku, druga natomiast, oddzielona przez wieś, to dawne miasteczko Słupiec, sztucznie przyłączone do Nowej Rudy z powodu drugiego szybu górniczego. To rozczłonkowanie wpływało na działalność Solidarności – była mniej dynamiczna, a samo miasto sprawiało senne wrażenie. Natomiast żywotny i cieszący się dużym autorytetem był noworudzki delegat do MKZ – oczywiście górnik, Kazik Przystacki. Miał ciekawą przeszłość, siedział już w więzieniu i był, co mnie zdumiało, członkiem Stowarzyszenia PAX. Uczył się niezwykle szybko i równie szybko umiał reagować. Na spotkania do Walbrzycha zawsze oprócz niego przyjeżdżała przewodnicząca Solidarności w fabryce odzieżowej Rafio Danuta Antonik, a towarzyszył im niezmiennie ks. Tadeusz Faryś. Kilka lat temu, gdy schorowana Danusia znalazła się w trudnej

sytuacji z powodu pożaru, wspólnie z Julianem Golakiem staraliśmy się o rentę premierowską. Zawsze obiecywano nam rozpatrzenie sprawy; pewnie jej papiery i nasze wnioski do dziś spoczywają gdzieś w urzędzie.

Pojechaliśmy też do Świdnicy. Od pewnego czasu moje tamtejsze kontakty znacznie się rozbudowały.

Świdnica, położona zaledwie 25 km od Wałbrzycha, była zupełnie innym miastem. Wałbrzych leży w niecce, rozciągnięty na wiele kilometrów, ze sztucznie dobudowanymi w PRL dzielnicami, właściwie nie ma centrum. Są w nim co prawda dwa centralnie położone place: Rynek i Plac Ratuszowy, ale dobudowane dzielnice stały się jakby miastami samymi w sobie. Z powodu szkód górniczych miasto się rozpadało. Żyło z górnictwa i przemysłu wokół górnictwa. Więzi społeczne były słabe. System komunistyczny rozbija więzi społeczne; ponieważ zakazano niezależnych organizacji, los człowieka jest w ogromnej mierze zależny od wiedzimisię władzy. To władza mówi ludziom, co mają myśleć, władza organizuje im życie, daje pracę, rozrywkę i wypoczynek. Jednocześnie w rzekomo bezklasowym społeczeństwie tworzy bariery, które można przekroczyć tylko wtedy, gdy deklaruje się po stronie władzy. W górnictwie to rozwarstwienie było szczególnie widoczne. Lecz w trudnej, niebezpiecznej pracy w kopalni jakby obok władzy rodzą się szczególne więzi. Nie widać tego na co dzień. Oplacani znacznie lepiej niż reszta społeczeństwa górnicy wydają się podporządkowani rządzącym. Do czasu. Do sierpnia 1980 r. Jest swego rodzaju paradoksem, że w mieście funkcjonowały dwa licea o najwyższym poziomie nauczania. To także dzięki absolwentom tych szkół Wałbrzych stał się interesującym ośrodkiem myśli i kultury. I – choć nie bez napięć – Solidarność budowała więzi społeczne między tymi grupami.

Świdnica natomiast to miasto ze zwartą zabudową, zabytkowym rynkiem w środku i kupiecką tradycją. W PRL wszelkie wzmianki o przeszłości, z wyjątkiem oczywiście tych związanych z piastowskim Bolkiem Świdnickim, były tępotne, jednak rodził się *genius loci*. Dlatego niecałe 10 lat później, gdy już było wolno, Świdnica odzyskiwała pamięć – mnożyły się wydawnictwa historyczne, powstawały albumy ze starymi rycinami, zdjęciami, pocztówkami. W 1980 r. ten nastrój był jakby uśpiony. Jednak już wówczas mieszkańcy z dumą mówili o dwóch świdnickich cudach: gotyckiej katedrze z wieżą najwyższą na całym Śląsku i mało efektownym z zewnątrz protestanckim Kościele Pokoju, zbudowanym z drewna, bez użycia metalu, o zaskakująco ogromnym barokowym wnętrzu. Świdniccy protestanci w XVII wieku tak manifestowali poczucie godności i przywiązanie do religii.

Rynek świdnicki był, jak wszędzie w Polsce, całkowicie zaniedbany, z opadającymi tynkami i rzeźbami, świadczący o dawnej świetności miasta. Fasady podniszczone, a wewnątrz niezagospodarowane brudne podwórka. Wokół centrum kilkanaście fabryk. Tam właśnie od połowy listopada 1980 r. miałem kilkanaście spotkań. Na ogół poświęcone one były aktualnej sytuacji, jednak niekiedy wypytywano o historię. Przeżyłem to, co zbadał Alain Touraine ze swoim zespołem. Otóż najbardziej chłonną i otwartą grupą w Solidarności byli młodzi robotnicy, na ogół absolwenci techników. Niekiedy dochodzili do nich młodzi ludzie po studiach. Mieli oni taki obraz świata jak o dekadę starsi od nich ludzie z Marca '68. Tak jakby nasze marzenie marcowe o sojuszu teraz właśnie się realizowało. Symbolicznym obrazem tego marzenia był widniejący przez wiele lat na budynku frontowym Uniwersytetu Warszawskiego marcowy napis „Robotnicy

z nami” (tak właśnie, z błędem). Napis zniknął dopiero w latach osiemdziesiątych.

Uczestniczyłem w spotkaniach w wielu świdnickich zakładach. W 1980 r. wszędzie panował ten sam nastrój optymizmu. Sale były pełne, dyskusje burzliwe. Rozmawialiśmy o rozwiązywaniu konfliktów – raczej nielicznych wówczas – w fabrykach. Dyrekcje starały się współpracować i jakby uznały zwierzchnictwo Solidarności. Problemem był oczywiście Związek Radziecki – „wejść, nie wejść”. Przeważał teza „nie odważą się”. No i oczywiście – co robić dalej. Mamy związek zawodowy, ale jak daleko się posunąć, czy powinniśmy żądać wolnych wyborów? Niekiedy pytano o KOR, niekiedy ktoś sięgał do Marca '68, szczególnie jeśli był jego uczestnikiem.

Był to okres nawiązywania szybkich przyjaźni i poczucia bycia razem. Ludzie grający na tych samych nutach od razu się rozpoznawali. Po zebraniach schodziliśmy się zawsze w kilka osób, by często przy lekko zakrapianych kolacjach rozmawiać do późna w nocy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wszystkie spotkania w fabrykach odbywają się pod czujnym okiem bezpieki. Jednak nie przypominam sobie, by ktoś miał obsesję szukania donosicieli. Nikt nie ukrywał swoich poglądów. Zresztą w każdym przedsiębiorstwie znany był opiekun z ramienia SB.

Z nocy 12 na 13 grudnia 1981 r. spośród moich znajomych i przyjaciół internowano Janusza Bilińskiego z PKS, Mariana Dziwniela i Marka Kowalskiego ze ŚFUP, Staszka Walczaka i Ludwika Tobiasza z „Wagonów”, Ryśka Moździerzka i Bolka Marciniuszyna z ZEM, Tádka Romanowskiego, wychowawcę z zakładu poprawczego, Andrzeja Patejczuka. Nieco później internowano Jacka Sługockiego. Z kolei za druk bibuły w więzieniu wyłądowna Jadwiga Kowalska, pracownica księgarni.

Na początku 1981 r. wálbrzyski MKZ zmienił siedzibę. Z ul. Wysockiego obok kopalni Thorez przeniósł się na Sobięcín, na ul. 1 Maja. Nie była to szczęśliwa zmiana. Miejsce odległe od centrum, pokoje małe, brak miejsca na wspólne spotkania. Ale też zmieniły się czasy. Nastrój rewolucyjny pierwszych tygodni prysł. Delegacje ze wszystkich stron województwa przestały przyjeżdżać. Początkowa gorączka została zastąpiona pracą, nieco już przypominającą funkcjonowanie instytucji. Ideowe dyskusje i spory zamieniały się niekiedy w rozważania, komu przydzielić gabinet. Dominacja górniczej Solidarności zmalała.

Do zarządu weszła Marta Gąsiorowska, polonistka z I Liceum Ogólnokształcącego, jedna z najbardziej zjawiskowych postaci, jaką poznałem. Nauczycielka z powołania, organizatorka kólek teatralnych, błyskotliwie inteligentna, nigdy niepodnosząca głosu, a uwielbiana przez młodzież, którą uczyła nie tylko polskiego, lecz i historii, i stosunku do życia w rodzinie. Przed Sierpniem kontaktowała się z Jackiem Pilichowski i kolportowała wydawnictwa niezależne.

W październiku 1981 r. zaprosiła mnie do swojej szkoły, miałem wygłosić prelekcje o najnowszej historii Polski. Przeszliśmy więc przez historię Polskiego Stronnictwa Ludowego w latach 1945–1947, Październik '56, Marzec '68, Grudzień '70 i lata 1976–1980, okres robotniczego buntu i KOR. Spotkania odbywały się w gabinecie dyrektora liceum Janusza Gąsiorowskiego, o którym Marta mówiła: „Nasz dyrektor, co prawda partyjny, ale jest z nami”. Janusz był jej mężem. Z PZPR wystąpił jeszcze przed 13 grudnia. Potem wielokrotnie, przyjeżdżając do Wálbrzycha, zachodziłem do Gąsiorowskich. Stali mi się bardzo bliscy.

W stanie wojennym liceum zostało spacyfikowane. Były plany rozwiązania szkoły, ostatecz-

nie jednak nie doszło do tego, prawdopodobnie ze strachu przed protestami uczniów i rodziców. Usunięto wielu nauczycieli. Janusza też wyrzucano, Marta została internowana. Z internowania wróciła schorowana. Pozwolono jej na pracę w odległej szkole podstawowej. Po 1989 r. wróciła do liceum. Zmarła w 2001 r.

Podobne spotkania organizowała przyjaciółka Marty Elżbieta Kwiatkowska, przewodnicząca Solidarności w miejskiej bibliotece. Esbecy nachodzili ją jeszcze w okresie legalnej Solidarności. Po internowaniu Kwiatkowska organizowała podziemne życie związku. Kilka razy była zatrzymywana, skazywana przez kolegia. Cicha, spokojna, robiła to jakby bez wysiłku. W wolnej Polsce przez kilka lat należała do PiS. Rozumiem jej wybór. Zniechęcona nową Solidarnością, która, jak mówiła, powinna zmienić nazwę, oraz układami w wałbrzyskich władzach uważała, że właśnie PiS z hasłami odnowy odtworzy coś z ducha dawnej Solidarności. Rozczarowała się.

W nowej sytuacji moje związki z Wałbrzychem uległy osłabieniu. Wróciłem do Warszawy, do województwa wałbrzyskiego przyjeżdżałem dwa, trzy razy w miesiącu, na zaproszenie.

W czerwcu 1981 r. w wałbrzyskiej hali sportowej odbywał się zjazd regionalny. Miał dramatyczny przebieg. Od dłuższego czasu działacze Solidarności z Wrocławia dążyli do stworzenia silnego regionu dolnośląskiego, składającego się z województw wrocławskiego, wałbrzyskiego, legnickiego i jeleniogórskiego.

Przewodniczącym we Wrocławiu był Władysław Frasyniuk, wybrany trzy miesiące wcześniej na miejsce postrąkowego przewodniczącego Jerzego Piórkowskiego, uznanego za zbyt uległego wobec władz. Frasyniuka wybrano w nietypowy dla Solidarności sposób. Odbyło się coś w rodzaju konklawe. Każdy z członków zarządu wypisał

nazwisko kandydata. Frasyniuk wygrał w pierwszym głosowaniu znaczną liczbą głosów. Przez trzy miesiące zdążył zbudować swój autorytet. Jego przewodnictwo było niewątpliwie magnesem dla delegatów. Powody jednak były poważniejsze. Takie miasta jak Świdnica, która nigdy nie pogodziła się z tym, że w 1974 r. Wałbrzych został stolicą województwa, Dzierżoniów czy Kłodzko w naturalny sposób ciążyły do Wrocławia jako ośrodka centralnego dla Dolnego Śląska.

Dojazd z Dzierżoniowa czy Kłodzka do Wałbrzycha był utrudniony. Dochodziły do tego ambicje personalne. W Dzierżoniowie lokalnym liderem był Teofil Frankowski, przewodniczący związku w Diorze, największej polskiej fabryce elektronicznej. Rzutki przywódca, w województwie wałbrzyskim nie mógł realizować swoich aspiracji. Byłem na zebraniu poprzedzającym zjazd. Frankowski prowadził je do momentu niemal jednogłośnie głosowania na rzecz regionu dolnośląskiego. Wtedy wstał i stwierdził: „Dalsza część zebrania jest łatwa. Może go poprowadzić każdy”. Władze zdawały sobie sprawę z jego możliwości. W stanie wojennym Frankowski był internowany prawie do końca. Po uwolnieniu stał się głównym organizatorem dzierżoniowskiego podziemia. W Kłodzku szefem tamtejszego komitetu koordynacyjnego był Antoni Misiak, technolog z KFUT, a także poeta, jeden z inicjatorów ruchu samorządowego. Również w Świdnicy tendencja dolnośląska była silna. Bez skutku próbowałem namówić ich do głosowania za Wałbrzychem.

Dyskusja przed głosowaniem był burzliwa. Pierwsza faza nie przyniosła rozstrzygnięcia z powodów proceduralnych. Ostatecznie koncepcja makroregionu wygrała około 30 głosami – przy obecności prawie 900 delegatów. Spowodowało to krótkotrwały sprzeciw górników.



Stanisław Wróbel zaczął wzywać do secesji i utworzenia własnego regionu. Zrezygnował po wypowiedzi Jurka Szulca, że władze krajowe tego nie zaakceptują.

Podobną decyzję podjęła Legnica, natomiast Jelenia Góra wybrała samodzielność. Przewodniczącym Legnicy był Ryszard Sawicki, jedna z najciekawszych postaci związku. Poznałem go, gdy w ramach Wszechnicy Robotniczej byłem w Zagłębiu Miedziowym. Oprowadzał mnie po zakładach, ze znanstwem tłumacząc wszystkie niuanse pracy i miejscowe układy. Technik z wykształcenia, był kolejjarzem, potem przez kilkanaście lat pracował jako kierownik w jakimś przedsiębiorstwie, by w końcu zostać operatorem maszyny w kopalni Rudna. Już w 1979 r. zorganizował tam strajk, a po sierpniu 1980 r. został niekwestionowanym szefem legnickiej Solidarności.

Zarówno Jurek Szulc, jak i Rysiek Sawicki w wyniku decyzji o makroregionie ponieśli na zjeździe krajowym przykrą porażkę. Obaj przepadli w wyborach do Komisji Krajowej. Delegaci bardzo uważnie przyglądali się biografom i starannie skreślali członków partii – często już byłych – niezależnie od ich pozycji w Solidarności. Przedostał się chyba tylko Bogdan Lis.

W Wałbrzychu odbyły się też wybory na szefa wałbrzyskiej Solidarności, teraz już jako podregionu. Po czterech rundach ostatecznie wygrał Szulc, który musiał walczyć z mało znanym kandydatem. Była to jedna z pierwszych oznak rozczarowania sytuacją. Rosło ono z tygodnia na tydzień. Po zjeździe krajowym Solidarności na zebrania czy spotkania przychodziło coraz mniej ludzi, ale coraz bardziej bojowo nastawionych.

W wyborach zaś do zarządu przeszły trzy osoby z I Liceum w Wałbrzychu: Marta Gąsio-

rowska, Halina Pankanin (późniejsza wiceprezydent Wałbrzycha) i Janusz Mulawa (późniejszy kurator okręgowy). Co było nietypowe dla okręgu górniczego, w wyborach największą liczbę głosów otrzymały kobiety – pielęgniarka Lidia Łukasik i sędzia Ewa Makowska. Ewie zawdzięczam moje pierwsze zetknięcie się z sędziami w charakterze nie podsądnego, lecz partnera w dyskusji. W sierpniu ona zorganizowała list poparcia tego środowiska dla strajku. W stanie wojennym jako chyba jedyna sędzia była internowana.

Kilka miesięcy później byłem w Wałbrzychu ostatni raz przed stanem wojennym. Grudzień był ponury, jakby zapowiadał to, co się miało stać. Zakładałem Kluby Samorządnej Rzeczypospolitej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość. Wstąpiło do nich kilkanaście osób, m.in. Marta Gąsiorowska, Halina Pankanin, Jacek Pilichowski, Jadwiga Kowalska, a także Mietek Tarnowski – zastępca Jurka Szulca, również górnik, który wyrastał na lidera. Stan wojenny zastał go w Szwajcarii. Tarnowski natychmiast wrócił i zaczął organizować solidarnościowe podziemie. Był wielokrotnie aresztowany, nękanym. W 1989 r. to przy nim – na wzór krajowy – powstał Komitet Obywatelski. Został senatorem. Wtedy był już chory. Gdy w 1987 r. jechaliśmy razem do Wałbrzycha, powiedział mi o bólach w klatce piersiowej. Namówiłem go, by natychmiast poszedł do lekarza. Diagnoza była nieubłagalna: rak. Zmarł cztery lata później.

W grudniu 1981 r. Wałbrzych i Świdnica były ostatnimi miastami na drodze moich spotkań w Polsce południowej – Przemyśl, Bielsko-Biała, Wrocław. Miałem tam wrócić po prawie sześciu latach.